

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW LWOWA i KRESÓW POŁUDNIOWO-  
WSCHODNICH ODDZIAŁ JELENIOGÓRSKI  
58-500 JELENIA GÓRA UL. BOHATERÓW GETTA 2

Praca na konkurs: **OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA**

**WERONIKA WOŚ**

ul.S.Batorego 13  
59-610 Wleń  
tel.726058627

Uczennica kl. I B

**ZESPÓŁ SZKÓŁ  
OGÓLNOKSZTAŁCĄCYCH I TECHNICZNYCH**  
Aleja Jana Pawła II nr 25  
58-506 JELENIA GÓRA  
tel. (075) 75278-81 (075) 75278-82 (075) 75260-94

III Liceum Ogólnokształcącego  
im. Jędrzeja Śniadeckiego w Jeleniej Górze  
al. Jana Pawła II 25

opiekun: mgr Urszula Kozłowska

Moja babcia **Kazimiera Chochulska** z domu **Kondratowicz** właśnie skończyła 80 lat. Pochodzi z Wileńszczyzny. Kiedy wybuchła II wojna światowa, była 6-letnią dziewczynką. Do tej pory wspomina wydarzenia z tamtego okresu i chętnie się nimi dzieli. Mieszka z nami, mamy bardzo dobry kontakt, więc często opowiada o swoich losach, a ja chętnie słucham jej wspomnień. Zapisałam te opowieści, żeby je ocalić od zapomnienia:

-„Moi rodzice: **Jerzy i Weronika Kondratowicz** z domu **Ignatowicz** opowiada Kazimiera- mieszkali w Wilnie. Ojciec od zawsze lubił zwierzęta, dlatego przenieśli się z miasta na wieś **Horawce** w województwie wileńskim, gdzie pracował jako leśniczy. Następnie został przeniesiony do wsi **Piłaty**. W tej wsi na świat przyszedłem ja, jako piąte dziecko w rodzinie.

Moje rodzeństwo to: brat **Wacław**, który ukończył Konserwatorium Muzyczne w Wilnie i później pracował jako organista w kościołach, siostra **Czesława, Leokadia i Janina**. Miałam szczęśliwe dzieciństwo. Dobrze nam się powodziło. Jako najmłodsza z rodzeństwa byłam rozpieszczana i nie znałam biedy ani trosk. Nie spodziewałam się, że przyjdzie mi tak szybko dorosnąć i na własnej skórze odczuć niedolę „sieroty”.

Kiedy miałam 5 lat, moja starsza siostra Czesława wyszła za mąż za **Arkaadiusza Lasowicza**. Mieszkali **we wsi Stara Linia** około 20 km od nas. W 1940 roku przyjechała do moich rodziców i zaprosiła mnie do siebie na jakiś czas. Byłam mała i nie chodziłam jeszcze do szkoły, więc rodzice się zgodzili. W czasie mojej nieobecności wydarzyło się straszne nieszczęście- 10 lutego 1940r. rodziców oraz moje rodzeństwo: Wacława, Leokadię i Janinę wywieźli na Syberię. Nikt nie był na to przygotowany, ale mieli „szczęście w nieszczęściu”, bo gdy przejeżdżali przez **wieś Zalesie**, jakimś cudem spotkali naszych krewnych i dostali od nich to, co było wtedy najważniejsze - trochę chleba i ciepłe ubrania. Oni przekazali bliskim, co się stało z moimi rodzicami.

Ja-beztroskie dziecko-nie rozumiałam tragizmu sytuacji i nie przejęłam się tym za bardzo. Chodziłam do sąsiadów i powtarzałam: -„aaa... Kondratowiczów wywieźli”. Kiedy dzisiaj o tym myślę, dziwię się, że byłam taka nieświadoma i głupiutka. Jak to dobrze, że teraz rodzice rozmawiają nawet z małymi dziećmi i tłumaczą im wszystko.

Siostra pojechała do opuszczonego przez moją rodzinę domu i zastała straszne zniszczenia. Wszystko było skradzione oprócz dwóch świętych obrazów, które znalazła w „opłakanym stanie”, odarte z ram. Podeptane leżały w kurzu na podłodze. Obrazy przedstawiały Matkę Boską Ostrobramską

i Pana Jezusa w Ogrójcu. Obydwa są do dzisiaj w rodzinie i są naszą cenną pamiątką.

Zostałam w domu siostry Czesławy Lasowicz. To ona mnie wychowała.

U niej dorastałam. Poszłam do szkoły w Górkach. Nauczycielka była Rosjanką. Na imię miała Larysa. Znała moją rodzinę i była dla mnie bardzo dobra, brała mnie na kolana, przytulała, głaskała po włosach. Wiedziała, że brakuje mi mamy. Bardzo tęskniłam za rodzicami i rodzeństwem. Często płakałam. Listy z Syberii przychodziły bardzo rzadko. Siadałyśmy wówczas z Czesią i po kilkadziesiąt razy je czytałyśmy. Coraz bardziej zanikał mi w pamięci obraz mojej mamy, więc wydawało mi się, że wtedy będę bliżej niej. Krótkie listy nie mogły zawierać zbyt wielu informacji, bo były cenzurowane, ale i tak cieszyłyśmy się tymi wiadomościami. Znałam je na pamięć. Czesia traktowała mnie dobrze, ale tęskniłam za mamą. Z czasem zrozumiałam, co to znaczy być sierotą. Gdy podrosła córka siostry-Irena, bywało różnie. Wychowywałyśmy się razem i mimo sporów byłyśmy jak przyjaciółki (obecnie ma 72 lata i mieszka we Wrocławiu). Pocieszam się, że mogło być gorzej, bo mogłam mieszkać u obcych ludzi, lub trafić z rodziną na Syberię. Na pewno nie miałabym szans na przeżycie, bo tam dzieci umierały. Jedną z moich sióstr- Leokadia też była ciężko chora, ale żyje do tej pory, bo mama jakimś cudem ją wtedy uratowała. Obecnie ma 91 lat i mieszka ze swoim synem Zbigniewem w Gliwicach. Z Syberii zaciągnęła się do Ludowego Wojska Polskiego i jako radiotelegrafistka przeszła cały front. Niestety, właśnie ta część historii w dużej mierze nie zostanie już odtworzona, ponieważ **Leokadia Greniuch** straciła pamięć.

Wracając do wspomnień... Często odwiedzałam znajomą Czesi, którą nazywałam ciocią Fiodorą. Bardzo mnie lubiła, a ja ją kochałam jak babcię. Mieszkała w **Zalesiu**, miejscowości oddalonej około 15km od nas. Kiedy wyjeżdżałyśmy do Polski, żegnała mnie ze łzami w oczach. Powiedziała mi na pożegnanie: „Cierpię, ale wiem i rozumiem, że jedziesz do mamy.” Nie miała mi co ofiarować, ale zdjęła z szyi i oddała mi łańcuszek z wisiorkiem, z zielonym oczkiem. Mam go do dzisiaj.

Trwała II wojna światowa. Był rok 1941. Niemcy zajęli nasze tereny. Kiedyś wracałam do domu od cioci Fiodory, która odprowadzała mnie do Pohostu (miasteczko ok. 8 km od domu). Dalej poszłam sama. Miałam wtedy około 8 lat. W tamtych czasach nie było innych środków transportu. Jeżeli można było, to jechało się furmanką lub konno. Oj najeździłam się. Ale wtedy musiałam iść pieszo. Zawsze byłam odważna i samodzielna. Idąc,

usłyszałam strzały dochodzące z pola. Zobaczyłam Niemców z karabinami. Krzyczeli - „gdzie są partyzanci, gdzie bandyci?” Przerazona nie mogłam głosu wydobyć i powoli się wycofałam. Wróciłam do Pohostu. Nie znalazłam cioci. Następnie udałam się w kierunku Zalesia. Ciocia dogoniła mnie i uściskała, szczęśliwa, że żyję. Słyszała strzelaninę i myślała, że już mnie nie zobaczy. Wróciliśmy do niej i dopiero po trzech dniach wypuściła mnie do domu. Minęłam **Pohost**. Szłam przez pola, z których zostało tylko pobojo-wisko. Jeszcze dziś mam przed oczyma straszny obraz- doły po granatach, sztywno leżące konie, przewrócone wozy... Jakiś gospodarz ściągał skóry z koni. Podobno robił z nich buty i odzież. To było straszne, ale tak wyglądało wtedy życie. Nikt się niczemu nie dziwił.

Moja siostra dowiedziała się o tej strzelaninie i bardzo się o mnie martwiła. Kiedy wróciłam cała i zdrowa do domu i opowiedziałam jej wszystko, ucieszyła się, że dotarłam bezpiecznie.

Z wojny powrócił mąż Czesławy. Wszyscy się cieszyli, niestety radość nie trwała zbyt długo, bo okazało się, że jest bardzo chory. Z powodu odniesionych ran został wcześniej zwolniony do domu. Siostra szukała, gdzie tylko mogła jakichś lekarzy, a że byli to Żydzi, to tylko dawali złudną nadzieję na poprawę i wołali o zapłatę. Kochająca żona wyprzedawała co mogła. Zaczęło nam wszystkiego brakować. Poszłam do pracy do kołchozu. Pracowałam ciężko. Wykonywałam różne prace polowe. Żęłam zboże sierpem, robiłam snopy, pomagałam młócić. Wstawałam o 4 rano i doiłam krowy. Mało płacili. Zarobki były głodowe, dlatego ukradkiem każdy w kieszeniach wynosił chociaż trochę jakiegoś zboża. Czasem udało się zdobyć kilka ziemniaków. To już był rarytas. Zboże mieliło się i można było upiec chleb, lub zrobić jakieś placki. Nikt nie mógł uprawiać własnej ziemi, ponieważ została ona odebrana gospodarzom. Wszyscy obowiązkowo musieli pracować w państwowym kołchozie. Panowała bieda i głód. Polacy zawsze starali się trzymać ze swoimi. Obchodzili katolickie święta, w tych dniach nie pracowali w polu. Nie pozwalali dzieciom chodzić do cerkwi, ale różnie bywało. Sama z dziecięcej ciekawości nieraz zaglądałam do cerkwi. Po ciężkiej pracy w polu nie brakowało młodym rozrywki. Młodzież była bardzo wesoła i zorganizowana. Wystarczyło, że ktoś miał harmonię i bałałajkę i już była zabawa. Sobota wieczór i niedziela, to był czas przyjemności.

Szwagier po długiej i ciężkiej chorobie zmarł. Zostałyśmy same - trzy kobiety: siostra, ja i jej mała córeczka. Dwoje dzieci Czesławy Lasowicz -

chłopczyk i dziewczynka zmarło wcześniej. Dzisiaj wystarczyłoby tylko antybiotyki, ale w tamtych czasach nie dało się ich wyleczyć.

W tym całym nieszczęściu dotarła do nas radosna wiadomość, że cała rodzina wywieziona na Syberię szczęśliwie powróciła do Polski. Osiedlili się na Dolnym Śląsku w powiecie lwóweckim we wsi Pławna. Postanowiłyśmy do nich dołączyć. Staraliśmy się o to aż 3 lata. Nie było łatwo. Ja z siostrą chciałyśmy zdobyć pozwolenie w urzędach białoruskich, a rodzice w urzędach polskich. Rosjanie cały czas stwarzali trudności. Wyszukiwali a to błąd w nazwisku, to według nich pokrewieństwo się nie zgadzało, zaginęły dokumenty i trzeba było zaczynać wszystko od nowa. Szukali pretekstu, żeby nie wydać nam dokumentów wyjazdowych i robili wszystko, żeby nas zniechęcić. Nie obeszło się też bez obelg. Wyśmiewali nas i kpili - „Po co wam ta Polska?”-

Pewnego razu siostra poszła do miasta, ja byłam sama w domu, a tu nagle policjant przychodzi. Serce podskoczyło mi ze strachu do gardła, ale okazało się, że ma dla nas dokumenty. To była jedna wielka radość. Wybiegłam na spotkanie siostry, żeby przekazać jej tę radosną nowinę. Rzuciłyśmy się sobie w ramiona i płakałyśmy ze szczęścia. Wreszcie wrócimy do domu! Do naszych! Jesienią 1954 roku dostałyśmy potrzebne dokumenty. Cóż to było za szczęście! Nie mogłyśmy się doczekać spotkania z rodziną w Polsce.

Zawsze byłam osobą bardzo wierzącą, dlatego myślę, że dzięki mojej modlitwie przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej-o szczęśliwe spotkanie z rodziną-moja intencja została wysłuchana. Wszyscy szczęśliwie przeżyli Syberię i spotkali się w Polsce.

Rodzinne przeżycia i zesłanie na Syberię spisała w formie wspomnień moja starsza o pięć lat siostra **Janina Zienowicz**- wdowa po mężu Witoldzie Zienowiczu. Jest schorowana, mieszka w Pławnej Dolnej (k/Lwówka Śląskiego)”.  
-

Opowieści babci pozwoliły mi poznać moje „rodzinne korzenie”. Ciężkie życie, o jakim opowiedziała mi babcia, budzi szacunek i zdziwienie. Trudne warunki, w jakich żyły dzieci, wzajemna pomoc bliskich, żeby przetrwać te czasy i mimo wszystko pielęgnowanie wspomnień, żeby ocalić od zapomnienia minione lata i losy rodziny Kondratowiczów. Szkoda, że z rodzinnych pamiątek został tylko obraz przedstawiający Pana Jezusa w Ogrójcu.

Weronika Was kl. I b

*Załączniki:*

- Obraz Pana Jezusa w Ogrójcu
- Pamiętny wisiołek z zielonym oczkiem
- „Syberyjskie Wspomnienia” Janiny Zienowicz







Janina Ziónowicz

SYBERYJSKIE  
WSPOMNIENIA

